Nr. 91.

Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 1 Kwietnia 1900.

BLONDYNKA, SZATYNKA, CZY JEDNA I DRUGA?

Przed trzema laty ukazało się dzieło pod tytułem: „Historya dwóch lat przez Z. S. S." W dziele tem jest dużo ciekawych dat do historyi ostatniego powstania naszego. Pomiędzy bardzo ciekawymi szczegółami, jakie to dzieło zawiera — powiada korespondent z Litwy *Dziennika Poznańskiego* — sporo jest takich, które albo wprost z prawdą są niezgodne, albo przedstawione są w fałszywem oświetleniu. Gdy autor wkracza w granice zachodnich gubernii, wykazuje wielką nieznajomość miejscowych stosunków, brak krytyki, a nawet niedbalstwo czy pospiech w traktowaniu rzeczy. Jako dowód może posłużyć między innymi ustęp z tomu IV str. 114, w którym czytamy, że hrabina Kellerowa była kobietą bardzo piękną, z włosami j a s n y m i, przypominającymi kolorem łany dojrzewającego zboża, że została kochanką Bibikowa, że Bibikow znalazł dla niej męża w osobie właśnie owego Kellera, rudego, brzydkiego jak noc Niemca, który zajmował urząd nadziratiela szkolnego i ożeniwszy się z metresą Bibikowa, z a r a z p o t e m został gubernatorem mińskim. W tem wszystkiem tyle tylko prawdy, że hr. Keller rozpoczął swą karyerę urzędniczą od inspektorstwa w jednej ze szkół kijowskich. Pani Kellerowa nigdy metresą Bibikowa nie była i być nie mogła nawet, gdyż na lat kilkanaście przed opowiedzianymi w dziele wypadkami, Bibikow wyjechał do Petersburga jako minister spraw wewnętrznych, a w owym czasie późniejsza Kellerowa była prawie dzieckiem. Jakkolwiek będąc panną i mężatką, odznaczała się urodą, to jednak do Hery Homerowskiej podobną nie była, choćby z powodu koloru włosów. Była ciemną szatynką a nie jasną blondyną, jak twierdzi autor.

Na mianowanie Kellera gubernatorem mińskim w 1852 roku Bibikow żadnego nie wywierał wpływu, gdyż zaraz prawie po wstąpieniu Aleksandra II na tron, jeszcze w 1855 roku jednocześnie z drugim faworytem Mikołaja I Kleinmichlem usunięty z urzędu, popadł w niełaskę. O tem, w jaki sposób hr. Keller dostał się na gubernatorstwo, opowiadano następnie, jakoby podczas wizyty Aleksandra II w Żytomierzu, Keller, naówczas wicegubernator wołyński, wiedząc o myśliwskich i innych upodobaniach nowego cara ofiarował mu przepyszną skórę niedźwiedzią, a tę skórę pani Kellerowa idącemu na spoczynek carowi sama przed łóżkiem rozesłała, a że car szczególnymi względami obdarzał przystojne kobiety, więc mogła po części skóra a więcej sposób jej ofiarowania przychylnie usposobić go dla Kellera.

Z drugiej znowu strony Keller był człowiekiem wcale dobrze wychowanym, przyjemnym i gładkim w obejściu, skończył nauki w uniwersytecie kijowskim, a że prócz tego szlachta nadbałtyckich gubernii, z jaką Keller był spokrewniony, w owych czasach w stolicy posiadała bardzo potężne protekcye, mogło więc wszystko obyć się bez interwencyi żony. Dodać muszę, że Keller wcale nie był tak brzydki, jak go maluje autor. Zresztą de gustibus non est disputandum, ale wierzyć mogę, że był bardzo, o wiele bardzo piękniejszym od dyabła, co jak powiadają, wystarcza dla mężczyzny.

Cały ustęp autora o Kellerach naprowadza na domysł, że czy to sam autor, czy ten kto mu tych szczegółów dostarczył, słyszał, jak to mówią, że dzwonią, ale nie wiedział w jakim kościele i rzucił na nich odpowiedzialność za grzechy panny J.... i głośnego w swoim czasie Pisarewa. Bibikow zostawszy generał-gubernatorem kijowskim wszedł w związek z panną J.... córką miejscowego karyerowicza, jasną blondynką — majestatycznie piękną w całem znaczeniu tego wyrazu. Gdy zaszła potrzeba, wynalazł dla niej męża, podrzędnego bardzo czynownika, wstrętnie brzydkiego, bez ogłady i wychowania. Zaraz po ożenieniu go, awansował go na zarządzającego swoją kancelaryą.

Urzędnik ten nazywał się Pisarew, pamiętny i dziś w gubernii wołyskiej, podolskiej i kijowskiej ze swego łapownictwa i z tego, że brał grubo, ale też i niepodobne do zrobienia interesy załatwiał, korzystając ze swego stosunku do Bibikowa. Skoro tylko Bibikow został ministrem zaraz zrobił Pisarewa gubernatorem ołonieckim. W roku 1850 spotkała Pisarewa bardzo niefortunna przygoda. W czerwcu uciekła z córkami żona, zabrawszy co tylko było pieniędzy i kosztowności. Znaczny majątek ziemski nabyty był na jej imię sposobem i dziś jeszcze praktykowanym w Rosyi przez czynowników chcących zachować pozory i ukryć fundusz przed nieprzewidzianymi wypadkami. A że nieszczęście — jak powiadają — zawsze w parze chodzi, więc w kilka tygodni po ucieczce żony Pisarew złajał publicznie jednego ze swych urzędników. Wypoliczkowany został przez niego, a w wynikłej w następstwie tego sprawie, miał sobie dowiedzione ogromne nadużycia i za to stracił miejsce.

Wady mężczyzn.

W obecnej erze pokarnawałowej niektóre pisma oddają się badaniom: dlaczego coraz mniej związków małżeńskich jest zawieranych. Na ten temat rozpoczęła się dyskusya i w warszawskiem *Słowie*. Pani E. Żmi. przypisuje ten fakt przedewszystkiem niewłaściwemu wychowaniu panien. Na to odpowiada p. T. S., że „prawdziwych przyczyn tego objawu należy raczej szukać w mężczyznach, w najbliższem bowiem otoczeniu widzimy, że nie te panny porobiły najlepsze partye, które posiadały wszelkie kwalifikacye na dzielne żony i gospodynie; lecz przeciwnie, najlepszych mężów znajdują rozbawione i rozflirtowane lalki, których jedynymi przymiotami były: uroda lub posag. Fakty podobne dają dużo do myślenia. Mimowoli nasuwają pytania: czy mężczyzna zamierzający założyć rodzinę, szuka naprawdę w przyszłej żonie przymiotów, potrzebnych do godnego spełniania czekających ją obowiązków? czy też kieruje się całkiem innemi pobudkami? Nikt nie zaprzeczy, że kobieta częściej wnosi do ogniska rodzinnego zasób uczuć serdecznych, czystych i niezużytych i że przy tym „ogniu, który ma świat odradzać", spotyka się z obojętnością i chłodem, pochodzącym z przesytu. Widzi z goryczą, że to co dla niej jest początkiem życia, dla niego bywa najprozaiczniejszym końcem, bo młodzież nasza, zanim ukończy studya naukowe i zdobędzie jakieś stanowisko, w znacznej części tak już jest przeżytą i do prawdziwej, trwałej miłości niezdolną, iż w wyborze żony kieruje się albo przemijającym prędko upodobaniem zmysłowem lub wyrachowaniem".

Jedna z matek zaś pisze: „Przypatrzmy się wychowaniu mężczyzn, mężów i ojców rodzin i zastanówmy się, czy oni pełnią należycie swe obowiązki, czy są kierownikami i opiekunami swych żon? Panny zawierają związki małżeńskie przeważnie w młodym wieku, a choć mają dobre skłonności i zacne serca, to jednak, nawet przy tych zaletach, trzeba rozumnego kierownictwa męża, aby wyrobić z dziewczęcia kobietę gruntowną. Przy braku tego przewodnictwa marnują się zwykle wszystkie przymioty; młodość i niedoświadczenie żony powoduje wiele fałszywych kroków na drodze życia. Wielu mężczyzn po ożenieniu uważa, że już dość czasu spędzili przy swych wybranych, w epoce narzeczeństwa, czyli „przymusowej służby", jak niektórzy nazywają — teraz więc mają prawo powetować sobie czas stracony i zaniedbują żony, wracając do kawalerskiego trybu życia. Mąż przychodzi do domu na obiad tylko i wypoczynek, resztę zaś czasu poświęca zajęciom biurowym, wesołemu towarzystwu swych kolegów, a wieczory — grze w winta w klubie. Powtarza się to coraz częściej, w miarę lat, upływających od dnia ślubu, wreszcie i mąż i żona oswajają się z takim stanem rzeczy i uważają go za normalny.

Nie ma między małżonkami zaufania, zażyłości, wymiany myśli, nie powstaje spójnia duchowa; każde z nich stwarza sobie odrębny świat. Mąż robi się niedelikatnym dla żony, okazuje jej jawnie swój zły humor, który przed światem troskliwie ukrywa; jest skąpy w wydatkach na potrzeby domowe, stacza wojnę z żoną o drobne pieniądze, ale bezmyślnie trwoni setki przy zielonym stoliku.

Nieraz zdarza się, że mąż cynicznie chwali się przed żoną ze swego powodzenia u aktorek i baletnic, nie czując, że odbiera tej istocie resztę złudzeń. Hołdują ludzie żonaci kobietom z półświatka, lub subretkom, zaniedbując własne żony, posiadające stokroć więcej od tamtych powabu, rzucając je tem samem na pastwę ludzkich języków, stawiając je wobec świata w fałszywem położeniu, z którego korzystają donżuani. Wnet zaczynają kursować skandaliczne nowinki na karb tych mężatek. Nieraz zdarza się, że niewinną kobietę ogół potępia, bo wiecznie opuszczona przez męża, pragnie się rozerwać. Kobieta — to bluszcz, który potrzebuje podpory, a ta, która ją znalazła w swym mężu, bezpieczną zwykle bywa od wszelkich podejrzeń i obmowy.

Na nas, matkach, spoczywa obowiązek wszczepienia lepszych zasad w pokolenie następne. Przedewszystkiem niech synowie nasi umieją dobrać sobie zacne i inteligentne towarzyszki życia, nie kierując się rachubą, lecz sercem i rozsądkiem, a potem niech szanują szczęście domowe, niech go nie lekceważą, niech nie myślą, że tak zwane „staranie się" powinno obejmować tylko epokę narzeczeństwa. Po ślubie jeszcze więcej starać się trzeba przypodobać swej żonie. Początek pożycia jest niezmiernie ważny i rokujący o całej przyszłości, bo jeśli wtedy nie położymy kamienia węgielnego jedności, zaufania, szacunku, wszystkie nadzieje szczęścia w małżeństwie runą. Wychowanie mężczyzn domaga się koniecznie zmiany, bo w ich ręku spoczywają losy rodzin. Dążąc do poprawy usilnie, zasłużymy sobie na wdzięczność naszych przyszłych synowych".

Sztuki piękne.

Repertoar teatru hr. Skarbka

W niedzielę o godz. $\frac{1}{2}4$ popołudniu „Wicek i Wacek" komedya w 4 aktach Zygmunta Przybylskiego.

W niedzielę o $\frac{1}{2}8$ wieczorem po raz 25 „Lalka" operetka w 4 aktach Edmunda Audrana.

W poniedziałek po raz drugi „Helena de la Seigliere" komedya w 4 aktach Juliusza Sandeau z panią Stachowiczową w roli tytułowej.

Z teatru. Swietna stara komedya J. Sandeau „Helena de la Seigliere" wznowiona wczoraj zasługuje na baczniejszą uwagę. Mimo pewnej szablonowości wyróżnia się ona intrygą zręczną, choć bardzo może zawikłaną — a rysunkiem niektórych postaci wprost świetnym. Wybija się na pierwszy plan przedewszystkiem postać margrabiego, tak charakterystyczna swym optymizmem, który dla chwilowego spokoju własnego umie nie widzieć każdemu widocznych niebezpieczeństw — wybitna postać baronowej, nacechowana dumą i przebiegłością i sympatyczna, pełna zapału młodzieńczego postać Bernarda.

Postacie te rysowane subtelnie, przeprowadzone konsekwentnie, znalazły wczoraj wykonawców choć niezupełnie wzorowych, to przynajmniej poprawnych. Margrabiego grał poprawnie p. Fiszer, umiał trafić w ton i charakter roli — chwilowo tylko może nie dopisywała mu pamięć sprowadzając niepotrzebne staccata. Rola baronowej doskonałą wprost znalazła wykonawczynię w p. Cichockiej — p. Woleński i p. Stachowiczowa wywiązali się z swych ról bez zarzutu.

Dr. Eug. B.

* **Satyra na sędziów.** W Paryżu zdobyła sobie świeżo powodzenie nowa sztuka teatralna, bardzo udatna, a zatytułowana „Czerwona toga" 4 aktowy dramat E. Brieuxa, znanego już i u nas z przekładów dramatopisarza. Sztuka ta jest gorzką i gwałtowną satyrą na stan sędziowski. Sędzia śledczy w miasteczku prowincyonalnem Mouzon, chcąc czempędzej awansować, otrzymać czerwoną togę, oskarza o zabójstwo, którego sprawców poprzednicy jego wykryć nie mogli, chłopa Etcheparra, Baskijczyka i prowadzi śledztwo tak, aby nagromadzić wszelkie poszlaki winy, a usunąć wszelkie świadectwo niewinności. Teroryzuje i podstępami doprowadza do sprzeczności oskarżonego. Potem tak samo postępuje z jego żoną Janettą, przypominając jej, że przed 10 laty, gdy służyła w Paryżu była karana za ucieczkę z domu państwa z kochankiem, który ich okradł. Nieszczęśliwa, której mąż nic o tem nie wie, a która od lat 10 uczciwem życiem okupuje ten grzech młodości, zastraszona, z początku próbuje namawiać męża do przyznania się, lecz na jego przysięgi, że jest niewinny, cofa swe zeznania, wymyśla podstępnemu sędziemu, za co Mouzon każe ją aresztować pod zarzutem wspólnictwa. Sąd... Etcheparre byłby niechybnie skazany, gdyby nie to, że prokurator w ostatniej chwili, już po wygłoszeniu mowy swej, ma pewne wątpliwości i poświęcając myśl o awansie, zwierza się z nich przysięgłym. Oskarżeni zostają uwolnieni, lecz podczas rozprawy Etcheparre dowiedział się o przeszłości żony i zazdrosny, a gwałtowny jak Baskijczyk, odtrąca ją zabiera jej nawet dzieci. Wówczas zrozpaczona chłopka uderzeniem noża zabija sprawcę wszystkiego zła, Mouzona.. Sztuka wywiera silne wrażenie.

Na lwowskiej wystawie sztuk pięknych przygotowuje się wielce interesująca niespodzianka, którą niewątpliwie powitają bardzo sympatycznie wszyscy lubownicy sztuki popularnej, a mianowicie jej nowych kierunków i jej zespolenia się z życiem i obyczajami. Nie wszyscy zgadzamy się na impresyonizm, modernizm, secesyę itp. najnowsze objawy pojmowania piękna i malowniczości, ale wszyscy zgodzić się musimy na jedno, a mianowicie, że nowy kierunek w sztukach plastycznych tę wielką oddał już usługę, że niejako świeżą krew i nowe życie wlał w sztuki graficzne i w przemysł artystyczny i że dzięki jemu sztuka ogarniać poczyna cały wielki obszar użytkowych rzeczy, powracając niejako do swych najświetniejszych tradycyj kulturalnych, kiedy to szła w parze z rękodziełem, uszlachetniając najpraktyczniejsze nawet rzeczy domowego życia.

Otóż temu nowemu kierunkowi poświęcona będzie wystawa, którą właśnie przygotowuje towarzystwo sztuk pięknych. Obejmie ona w pierwszym rzędzie sztuki graficzne, poczynając od afisza, przeznaczonego dla tłumów ulicznych, a kończąc na rytowanych artystycznych litografiach, drzeworytach, akwafortach itd. Cała Europa będzie tu reprezentowana, oglądać będziemy najcelniejszych mistrzów modernistycznej sztuki graficznej z Anglii, Niemiec, Francyi i Włoch. Osobny dział obejmie najbardziej wybitne i charakterystyczne okazy sztuki stosownej, jak przedmioty domowego urządzenia, objekty dekoracyjne, majoliki i szkła artystyczne, zgoła złoży się to wszystko na obraz żywotnej aplikacyi sztuki do życia i jego stron praktyczniejszej nawet natury. Samo się przez się rozumie, że urządzenie takiej wystawy wymaga wiele trudu i czasu i dlatego też wystawa przez pewien czas, nie dłużej jednak niż tydzień będzie zamknięta. Wystawa z powodu bardzo obfitego materyału, urządzona będzie seryami a pierwsza serya obejmie nadzwyczaj bogatą i wysoce charakterystyczną kolekcyę artystycznych afiszów angielskich, francuskich i niemieckich.

ROZMAITOŚCI.

Żebracy i ruchome jadłodajnie Z Warszawy piszą: Z radością powitaliśmy uchwałę komitetu Towarzystwa przeciwżebraczego, zgodną z wywodami prasy o potrzebie tanich jadłodajni ruchomych w Warszawie. Na mocy tej uchwały dwóch członków rzeczonego Towarzystwa wyjechało do Berlina, ażeby poinformować się tam o urządzeniu „tanich kuchni ruchomych." Jest więc nadzieja, że niebawem w czterech godzinach południowych ujrzymy wozy-kuchnie, krążące po ulicach, przystające przed budynkami fabryk i wielkich zakładów przemysłowych, ażeby ludność uboższą zaopatrywać w ciepłą, zdrową pod nadzorem lekarzy przyrządzoną strawę. Wtedy też łatwiejszem się stanie pełnienie doraźnego miłosierdzia, wtedy sceny takie, jakich niejednokrotnie byłem świadkiem, odmienny będą miały przebieg: oto do odzianego w zasobne futro pana podchodzi, trzęsąc się z zimna i kuląc w łachmany, chłopczyna, najwyżej może dziesięcioletni.

— Choć grosik, miłosierny panie! — woła piskliwym głosem — nie jadłem dziś nic jeszcze!...

Prawo starszeństwa.

POWIEŚĆ

Champola.

(Ciąg dalszy.)

Tym sposobem powrót do kraju rodzinnego miał dla nich obojga sfrancuziałych i wychowanych na kontynencie, pewien urok nowości. Wśród tych obcych sobie murów starożytnych, rodaków zapomnianych i zwyczajów oddawna zapomnianych, czuli się skrępowanymi, jednak zadowolonymi, jak dzieci szukające uciechy w przebieraniu się w stroje pradziadów.

Teresa oświadczyła Walterowi, że wszystko w tym zamku podoba się jej bardzo i że chętnie będzie w nim mieszkała. W towarzystwie jego każde miejsce będzie jej przyjemnem, sama wieczność nie wyda się jej długą.

— Często będziemy tu przebywali, lecz nie ciągle — odrzekł. — Więc nie chcesz już wracać do Francyi?

Odpowiedziała, że z przyjemnością mieszkałaby i we Francyi, drugiej ojczyźnie, ojczyźnie jej miłości, droższej, prawie równie świętej jak kraj rodzinny.

Umilkła, a chociaż Walter mógł wiele uczuć czytać z jej oczu i ust uśmiechniętych, lecz pragnąc usłyszeć jej głos i nowy dowód miłości, zapytał:

— O czem myślisz, droga?

Byli tak dumni, tak szczęśliwi, on z prawa, dozwalającego mu zapytywać ją o wszystko, o jej myśli i marzenia, a ona z przeświadczenia, że nic już nie rozdziela ich i że może być z nim zupełnie szczerą, że odrzekła otwarcie:

— Myślę o Biarritz, o naszem pierwszem spotkaniu.

Wspomnienie to miało dla niego urok niezapomniany. Widział w wyobraźni pewnego poranka wrześniowego wybrzeże morskie i Teresę stojącą na niem wśród grupy dzieci ubogich rybaków. Jedno z dzieci upadło i rozpłakało się. Teresa wzięła je na ręce i otrząsając jego ubranie z piasku, przemawiała do niego i uśmiechała się. Dziecko nie słuchało jej i przestało płakać dopiero na widok drobnej monety srebrnej. Ale słowa i uśmiech Teresy, jak skarb stracony, zostały podjęte i zachowane przez nieznanego przechodnia, dla którego przeznaczonemi nie były.

Następnego dnia Walter Chartran znalazł sposobność w kasynie przedstawienia się pani Brent i jej pasierbicom. Tak więc Teresa i Walter poznali się przypadkiem. Ileż to czasu ubiegło od owej nieśmiałości pierwszych chwil, od niepewnej nadziei do wielkiego szczęścia obecnego!

Ale wspomnienie to nie wystarczyło lordowi Chartranowi.

Człowiek szczęśliwy instynktownie staje się nienasyconym, więc i Walter sięgając w przyszłość dalszą i pragnąc jeszcze więcej, na takież samo pytanie Teresy odrzekł:

— O czem myślę? Myślę o dniu, w którym będziemy obchodzili nasze wesele złote, wśród naszych dzieci i wnuków.

Szczęście tryskało z jego twarzy szlachetnej, zwykle poważnej, niekiedy smutnej, a utkwiony w Teresę wzrok wyrażał miłość bez granic.

Był przekonanym, że jego ukochana nawet w wieku sędziwym będzie jeszcze piękną, że przyszłe lata jeszcze więcej wzmocnią ich przywiązanie wzajemne i spoglądał w przyszłość z wiarą wieku młodego, ani na chwilę nie przypuszczając przeciwności i zawodów. Ale kobiety nawet najmłodsze, choć nie mają doświadczenia, posiadają wrodzone przeczucie cierpień.

Teresa słysząc męża z taką wiarą mówiącego o przyszłości, przestraszona podeszła ku niemu i ujęła go pod ramię.

Wszelako po chwili czując się pod jego opieką, zapominając i o tej obawie przelotnej, z całym wylewem szczerości zawołała:

— Boże mój! jakże pragnęłabym widzieć i innych tak szczęśliwymi jak my!

— Dlaczegóżby nie, to rzecz możliwa...

Pragnienia lorda Chartrana zawierały się w zakresie mniejszym i posiadały więcej szans urzeczywistnienia.

Wzrok jego przez jakiś czas szukał osób znanych, wreszcie spoczął na jednej z par tańczących.

— Patrz na Franciszka i Wiktoryę — rzekł półgłosem.

Tańcząca para zbliżała się, wreszcie minęła ich, uśmiechnąwszy się nieco złośliwie.

— Po tobie — z przekonaniem rzekł lord Walter — nie ma na świecie osoby przyjemniejszej nad twoją siostrę.

I rzeczywiście, młodsza siostra Teresy, Queenie, mała królowa, jak ją nazywano z powodu, że miała to samo imię co monarchini panująca, była bardzo przyjemną i prawdziwą królową młodości oraz piękności.

Jak ona podobna do ciebie — mówił dalej Walter, nie znajdując na razie lepszego komplementu.

Miał słuszność, ale choćby wyraził się i przeciwnie, równie powiedziałby prawdę. Między obiema siostrami i podobieństwo i różnice były prawie w równym stopniu uderzające. Queenie wydawała się mocniej zbudowaną, miała rysy twarzy więcej wyraziste i ożywione, choć mniej delikatne.

Zarówno jak Teresa miała włosy ciemnoblond, oczy błękitne z odcieniem ciemniejszym, policzki więcej rumiane.

I pod względem moralnym różniły się znacznie: Teresa była łagodną, więcej pogłębioną w sobie, Queenie zaś ożywioną, szczerą aż do zbytku, nie mającą nigdy żadnych myśli ukrytych, była prawdziwem dzieckiem i to tak dalece, że chociaż zaledwie półtora roku liczyła mniej niż siostra, nazywała ją jednak swą mateczką.

Teresa w samej rzeczy była dla niej prawie matką.

(C. d. n.)

Pan zatrzymał się.

— A dla czego nie pracujesz? — zapytał.

— Bo nie mogę, wielmożny panie — brzmiała odpowiedź mam prawą rękę ucchniętą, a w domu leży matka chora, ojciec w szpitalu..

— A gdzie mieszkacie, daleko?

— O bardzo daleko, za Powązkowskiemi rogatkami.

— No, to dasz mi dokładniejszy adres, jutro do was zajrzę i poratuję, tymczasem chodź ze mną; każę ci dać w kuchni coś gorącego — jestem doktorem, obejrzę rękę...

— Wolałbym grosik — zapiszczał malec.

— Z zasady pieniędzy nie daję! zjeść i wypić, leczyć się u mnie, owszem możesz...

W tej chwili staje się rzecz niespodziewana: skulona postać chłopca prostuje się i pełnym krokiem odsuwa się w przyzwoite oddalenie; palce w formie wachlarza po łobuzowsku przytyka do nosa i głosem jak nie piszczącym woła:

— Jaki mi miłosierny! nędzara, groszem nie śmierdzi a gorącem chce ludzi poić...

Dalsze słowa zagłusza turkot dorożek. Pan w futrze śmieje się i mówi do otaczających widzów:

— Widzicie państwo jak ja zawsze robię! i bez żadnego trudu odróżniam wyzysk od prawdziwej nędzy; rzeczywiście głodny i kaleka nie odmawia nigdy przyjęcia posiłku, a ja prowadzę go niby do siebie, po drodze rozpytuję i jeżeli widzę prawdziwą potrzebę, zasilam datkiem pieniężnym bezwłocznie, nazajutrz zaś polecam biedaka filantropii. Ale takich spotykam mało, bardzo mało, większość postępuje tak, jak przed chwilą.

Dobry to sposób na żebrzących „chromych" „ociemniałych" „bezrękich" „nieszczęśliwe matki" z niemowlętami i bez nich, a łatwiej go można stósować tam, gdzie krążą ruchome jadłodajnie.

Irlandzka moda w Anglii. Anglia dokłada wszelkich starań, ażeby pozyskać sympatyę Irlandczyków. Prześladowany dawniej irlandzki trójlistek koniczyny, teraz jest w ogólnem poszanowaniu i w modzie. Królowa odwiedziła ma Dublin w tych dniach, a dzień św. Patryka, patrona Irlandyi święciła uroczyście cała Anglia. Koniczynę przywożono całymi wozami. Skromny liść zdobił wszystkich. Można go teraz widzieć wszędzie: na chustkach do nosa, na wyrobach skórzanych, na kartach pocztowych itd. Wszędzie powiewają zielone flagi, a grób matki gen. Robertsa, Irlandczyka rodem, przystrojono wieńcami z koniczyny.

Z okazyi podróży królowy Wiktoryi do Irlandyi został świeżo odnowiony grób św. Patrycego na cmentarzu kościoła katedralnego w Downpatricku. Miejsce to spoczynku szczątków św. Apostoła Irlandyi pokryto głazem granitowym, ważącym 7 beczek naśladującym kamienie celtyckie. Na głazie wyryto krzyż irlandzki, wiernie odwzorowany z głazu, znalezionego na wyspie Iniolothrunie i pochodzącego z czasów św. Patrycego. Pod krzyżem znajduje się wedle wzorów starożytnych wyryte imię św. Patrona Irlandyi. Monument, pełen prostoty i jakiejś powagi wieków, przysłany został przez architekta W. I. Fennella i wykonany z inicyatywy F. I. Biggara z Belfastu.

Św. Patrycy był pochodzenia celtyckiego i urodził się w wiosce Kilpatryce w Sakooyi w r. 372 z ojca Kulparniusza i matki Konkiesy, siostry św. Marcina Turoneńskiego. Imię jego celtyckie było Succat. Trzy razy był brany do niewoli przez korsarzy, gdy mu się zaś nareszcie udało wyswobodzić, wstąpił do zakonu we Francyi w okolicach miasta Tour. Zostawszy biskupem, udał się dla opowiadania słowa Bożego do Irlandyi. Tam też umarł w Panu w r. 460 w klasztorze sabalskim przez siebie założonym. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu kościoła katedralnego w Downpatricku w prowincyi Ulton. Kościół obchodzi dzień św. Patrycego w d. 17 marca.

Ogłoszenie konkursu.

Prezydyum Magistratu król. stoł. m. Lwowa rozpisuje konkurs na jedną posadę adjunkta urzędu budowniczego miejskiego z roczną płacą 2800 koron, dodatkiem aktywalnym 600 koron i prawem do dwóch podwyższeń w kwocie 200 koron, względnie 400 koron, po czterech, względnie ośmiu latach służby.

Podania należycie ostemplowane z dowodami ukończonych studyów politechnicznych w dziale inżynieryi i ze świadectwami z dwóch egzaminów rządowych, tudzież z praktyki dotychczasowej, należy wnieść do Prezydyum Magistratu najdalej do 10 kwietnia 1900 roku.

We Lwowie 19 marca 1900.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kostecki. Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.